

Dariusz Gawin: Po co Sarmatom Europa?

W historii nie chodzi o odpowiedzialność wobec mglistej i niesprecyzowanej przyszłości „w ogóle”, lecz o odpowiedzialność wobec przyszłości własnej zbiorowości – własnej wspólnoty politycznej, która w zależności od historycznego kontekstu raz może nazywać się Rzeczą Pospolitą Obojga Narodów, kiedy indziej „narodem polskim” lub „społeczeństwem” albo w skrócie Polską – pisał Dariusz Gawin w książce „Blask i gorzycz wolności”.

Wszyscy pamiętamy jeszcze ze szkoły powszechnie obowiązujący od kilku pokoleń sposób opowiadania o narodowej historii – Polska wprawdzie w XVI wieku była wielka, wprawdzie przeżywaliśmy wtedy Złoty Wiek, kultura i tolerancja religijna kwitły razem obok siebie a car Iwan wprawdzie okazał się Groźny dla Moskwiczinów, ale nie dla Batorego, który pokonał jego wojska pod Pskowem – lecz potem za sprawą wojen, niezrozumienia dla aspiracji Ukrainy i politycznej głupoty historyczna wielkość została zaprzepaszczona. W czasach, gdy europejskie narody budowały sprawne, nowoczesne, absolutystyczne państwa a wraz z nimi kładły także zręby mieszczańskiej kultury, kapitalizmu i liberalnych porządków, Polska pogrążyła się w chaosie, ciemnocie i parafiańszczyźnie. Niedostępnym wzór takiego właśnie sposobu opowiadania narodowej historii stworzyli krakowscy Stańczycy z Bobrzyńskim i Szujskim na czele, którzy wytykali Polakom brak szacunku dla państwa i „młodszość naszego cywilizacyjnego rozwoju”. Jednak ten sam ton, te same wątki można było odnaleźć także zarówno w *Myślach nowoczesnego Polaka* jak i w PRL-skich programach

szkolnych. Dzisiaj jego echo dźwięczy w naszych dyskusjach na temat przystąpienia do Unii Europejskiej. Dla porządku trzeba naturalnie zaznaczyć, że stosunek do historii uległ gwałtownej zmianie – obecnie nie sposób już sobie wyobrazić ożywionych debat na temat roli Stanisława Augusta Poniatowskiego w ostatnich latach przed rozbiorami, kłótni o książki Jasienicy czy też tego stopnia zbiorowego zachwyty, z jakim publiczność rozczytywała się w *Końcu świata szwoleżerów* Mariana Brandysa. Zamiast argumentów mniej lub bardziej precyzyjnie zakorzenionych w solidnej wiedzy historycznej, zamiast poszukiwania wyraźnych analogii – choćby takich jak *Wieczór listopadowy* Kijowskiego, który w historyczny kostium Królestwa Kongresowego ubierał rzeczywistość epoki Gierka – słyhać dzisiaj raczej nieprecyzyjny i szeroki zwrot o „historycznej szansie”, jaką dla Polski jest wstąpienie do zjednoczonej Europy. Tak jakby dla szerszej publiczności przystąpienie do Unii nie było szansą na dokonanie czegoś „w” historii, lecz na wyjście „poza” historię na porzucenie tego męczącego, po trosze tragicznego, po trosze zaś groteskowego korowodu wydarzeń i zbiorowych nieszczęść którym, za sprawą gnuśnych i głupich Sarmatów z czasów I Rzeczypospolitej, stała się przez ostatnich dwieście lat z okładem historia Polski.

Wyobraźmy jednak sobie taką oto scenę: w cudowny sposób, za sprawą jakiejś maszyny czasu przeniesieni zostajemy do drugiej połowy XVII wieku, powiedzmy w czasy panowania Jana Sobieskiego, i spotykamy tam jakiegoś szlachcica solidnie zamożnego, posesjonata. Żaden z niego magnat, żadne „królewiątko”, nie jest też „szarakiem” wiszącym u pańskiej klamki. Porządny z niego szlachcic, wierzący w złotą wolność, dobro Rzeczypospolitej mający za skarb najdroższy, od heretyków stroniący i po pańsku, czyli bez nienawiści a raczej instynktownie gardzący wszelkimi łykami z miasta i chamami ze swoich wiosek. Wyobraźmy sobie dalej, że z przejściem mówimy mu, iż

powinien porzucić swoje przekonania i z całego serca – jeśli dobry z niego Polak – popierać silną władzę królewską. Że dobro Polski leży w tym, aby król tępił szlachecką wolność a na jej miejsce budował silne państwo z wielką armią utrzymywaną za bezwzględnie ściągane podatki, ze sprawną i rozbudowaną administracją (to też słono kosztuje, więc i płacić trzeba będzie), że prawa polityczne należy ograniczać i opierać je nie na stanowych fundamentach, lecz raczej „klasowych”. I że dla trzech czwartych szlachty, która z powodu biedy nie znajdzie reprezentacji politycznej, należy już szykować starościńskie więzienia i królewskie twierdze (tych trzeba pobudować jak najwięcej, bo służą one do szachowania przeciwników wewnętrznych w czasie pokoju a w momencie wojny dają odpór najazdowi). No i oczywiście trzeba również całkiem na poważnie zacząć myśleć o imperialnej polityce, o zniszczeniu Prus, odbiciu Kijowa i Smoleńska, wypchnięciu Szwedów, a potem – kto wie, może o rozdawaniu kart w Świętym Cesarstwie Narodu Niemieckiego.

*Niemożliwość wyobrażenia
sobie odpowiedzialności
własnej i współczesnego sobie
pokolenia za wydarzenia,
które nadejdą dopiero za sto
czy dwieście lat, jest z
pewnością właściwa
wszystkim ludziom*

Tutaj w końcu nasz szlachcic Sarmata przerwałby nam w końcu te złote rady i zapytałby się zdumiony, po co to wszystko. Jego zdumienie jeszcze by z pewnością wzrosło, gdyby dowiedział się, że tylko w taki sposób będzie można

zapobiec rozbiorom – „rozbiory”? A cóż to takiego? – no więc powiedzmy, że upadkowi Polski, który niechybnie nadejdzie za sto

kilkanaście lat. I opowiemy mu o dalszych, wynikających z tego upadku perturbacjach narodowej historii: o powstaniach i zsyłkach, o wozie Drzymały i PRL-u, o Komisji Edukacji Narodowej, która była tak nowoczesna jak na swoje czasy, a jednak musiała ustąpić przed brutalną siłą. I o tym w końcu, że dzisiaj właśnie z powodu jego gnuśności i braku politycznej mądrości Warszawa nie ma porządnego metra jak każda europejska stolica, nie ma obwodnicy a dochód narodowy na głowę mieszkańca jest w Polsce jakimś śmiesznym ułamkiem tego, co przypada na każdego mieszkańca Niemiec, Francji czy Anglii.

Zdziwienie naszego szlachcica z końca XVII wieku z powodu wysuwanych przez nas oskarżeń pod jego adresem nie jest, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać, jeszcze jednym tylko więcej dowodem na jego umysłową gnuśność i sarmacką parafiańszczyznę. Niemożliwość wyobrażenia sobie odpowiedzialności własnej i współczesnego sobie pokolenia za wydarzenia, które nadejdą dopiero za sto czy dwieście lat, jest z pewnością właściwa wszystkim ludziom i nasz szlachcic nie byłby tutaj wyjątkiem. Jeśli bowiem dobrze przyjrzeć się całej sprawie, to świadomość, iż nasze działania lub nasze zaniechania będą miały wpływ na odległą przyszłość, że będą kształtowały rzeczywistość naszych odległych potomków w piątym czy szóstym pokoleniu, jest rzeczą zupełnie niezwykłą. Dla zwykłych ludzi horyzont przyszłości wyznacza wyobrażenie przyszłego świata ich wnuków. Dalej wyobrażenia nie sięga, obejmując całą gromadzącą się za linią tego horyzontu rzeczywistość mglistym mianem „przyszłości” właśnie. A jednak zdolność do działania roztropnego i mądrego, do przewidywania *sensu* odległej przyszłości, której przecież dokładnego *kształtu* nigdy nie poznamy, jest jedną z podstawowych cnót politycznych, które powinny przysługiwać jednostkom, lecz także całym zbiorowościom.

Małe ćwiczenie z wyobraźni, w którym pojawił się nasz szlachcic, pokazuje, że w historii nie chodzi o odpowiedzialność wobec mglistej i niesprecyzowanej przyszłości „w ogóle”, lecz o odpowiedzialność wobec przyszłości własnej zbiorowości – własnej wspólnoty politycznej, która w zależności od historycznego kontekstu raz może nazywać się Rzeczą Pospolitą Obojga Narodów, kiedy indziej „narodem polskim” lub „społeczeństwem” albo w skrócie Polską. Choć nie możemy być odpowiedzialni za kształt przyszłości tej wspólnoty, bo kształtu tego nie tylko nigdy nie poznamy, lecz – nawet gdybyśmy mogli go poznać – nigdy byśmy nie zrozumieli, to jednak nie przekreśla to naszej odpowiedzialności wobec przyszłości.

To niezwykle abstrakcyjne i nieuchwytne zagadnienie ma jak najbardziej rzeczywisty wymiar polityczny. Jakie bowiem w istocie mogą być podstawy takiej odpowiedzialności? Co nas zobowiązuje, co nakłada na nas powinność włączania w nasze własne rachuby, w nasze własne kalkulacje, także interesu tych, którzy przyjdą po nas o całe stulecia później? Rzecz wydaje się na pozór prosta, bo nasze zobowiązania w stosunku do przyszłych pokoleń pociągnięte są z wierzchu pokostem patriotycznych frazesów, wytartych zwrotów, których politycy używają przy okazji odbębniania państwowych rytuałów – na czele ze wspomnianym już obowiązkiem wykorzystywania „historycznej szansy”. Publiczność zdaje się nie do końca poważnie traktować te retoryczne figury, podchodząc do nich tak, jakby były tylko jeszcze jednym więcej elementem politycznego *theatrum*, takim samym jak niebieskie koszule i dyskretna, wyborcza opalenizna. Postawmy sprawę jeszcze brutalniej – czy w ogóle można poważnie mówić o takiej odpowiedzialności? W imię czego moglibyśmy na serio oskarżyć naszego sarmackiego szlachcica o brak politycznej mądrości? W imię naszych własnych frustracji i kompleksów? W imię

doskwierającego nam dzisiaj braku autostrad albo braku mieszkań? Ależ nasz szlachcic wyobrażony mógłby powiedzieć, że nic go to nie obchodzi, bo jego świat jest stabilny, przytulny, dla niego wygodny i nic nie wskazuje na to, aby miał się on rozpaść przed jego śmiercią, wobec czego nie widzi najmniejszych powodów, aby go teraz na gwałt rozwalać dla naszej wygody. Odwróćmy zresztą ten eksperyment i wyobraźmy sobie przez chwilę, że to my sami jesteśmy obwiniani o głupotę i brak politycznej wyobraźni przez jakąś przyszłość, równie odległą od nas jak ów siedemnastowieczny szlachcic. Że Polak jakiś – a i to przecież nie jest całkiem pewne, czy akurat ten rodzaj samookreślenia będzie dla niego jeszcze istotny – który przybędzie do nas z roku 2325, powie nam, że z powodu nieudolności solidarnościowych elit i gnuśności całego narodu w sprawie integracji europejskiej i związanej z nią modernizacji wyjściowa pozycja Polski do decydujących procesów modernizacyjnych XXIII wieku okazała się bardzo marna i wobec tego on, mieszkający w Warszawie XXIV wieku dysponuje biocybernetycznymi systemami wszczepianymi bezpośrednio do mózgu (pomyślmy, jak wielkie możliwości daje to masowej rozrywce!) bardzo podrzędnej jakości, jeśli porównać je do tych, które osiągalne są w Berlinie, Paryżu czy Nowym Jorku. Też moglibyśmy odpowiedzieć – a cóż to nas w końcu obchodzi? Tak, bolejemy nad chorobą politycznej głupoty toczącej nasze pokolenie (nasz szlachcic, chociaż zwolennik „złotej wolności”, też bolał nad zrywaniem zbyt często sejmami), ale w końcu świat – nasz świat – od tego się przecież nie rozpadnie. A że ktoś za trzysta lat będzie właśnie nas obarcza! odpowiedzialnością za marną jakość swojego życia...

Starczy już chyba eksperymentów. Oczywiście jest, że każda wspólnota polityczna powinna mieć sposoby tłumaczenia kolejno po sobie następującym pokoleniom przyczyn, dla których są one zobowiązane do odpowiedzialności za interesy nie tylko własne, lecz także tych,

*Patriotyzm republikański
zawsze musiał biec w
przeszłość, ku wzorcowi
ustanowionemu na samym
początku i porównywał z nim
teraźniejszość*

którzy dopiero
nadejdą. O żywą
świadomość takiej
odpowiedzialności o
wiele łatwiej było w
dawnych społeczeń-
stwach. J.G.A. Pocock
w swej
fundamentalnej
pracy o odrodzeniu

tradycji republikańskiej w nowożytnej Europie pisał, że republiki były swego rodzaju „mnemotechnicznymi” strukturami, przechowującymi pamięć o republikańskim ideale, który legł u fundamentów ich wielkości. Dla Aten, Sparty czy Rzymu historia nie była teleologicznym procesem, lecz raczej dziejowym żywiołem, po którego wzburzonych falach żeglowały ku wielkości antyczne miasta-państwa. Jak pisała Arendt, pamięć o akcie założycielskim wiązała w jeden łańcuch przeszłe, teraźniejsze i przyszłe pokolenia. Żyjących obowiązywała cześć dla obyczajów przodków – dla *mos maiorum* – i dla nadanego przez nich na samym początku ustroju. To właśnie za sprawą obyczajów i ustroju odziedziczonych po przeszłości republika osiągała wielkość i wraz z początkiem ich zepsucia zaczynał się jej upadek. Patriotyzm republikański zawsze zatem musiał biec w przeszłość, ku wzorcowi ustanowionemu na samym początku i porównywał z nim teraźniejszość. Wierność cnotom ojców-założycieli, prawodawców stanowiła najlepszą rękojmię nie tylko zachowania republiki odziedziczonej po przodkach, lecz także przysporzenia jej chwały zarówno teraz jak i w przyszłości. W średniowiecznych monarchiach podobnym spoiwem łączącym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość była wierność dynastii, później oddzielonej już od osoby panującego idei korony – w polskich warunkach od czasów Kazimierza Wielkiego

mówiono o na przykład o *Corona Regni Poloniae*, później zaś szlachta wychowywana na Liwiuszu wyobrażała sobie, że strzeże wolności Rzeczypospolitej biorąc wzór z Katona czy Mucjusza Scewoli.

Przy wszystkich różnicach dzielących antyczne miasta-państwa od chrześcijańskich monarchii jedna rzecz pozostawała w nich taka sama – przekonanie, że przeszłość nie różni się zasadniczo od teraźniejszości, a ta z kolei nie będzie niczym zasadniczym odbiegała od przyszłości. Rzymianie nie tylko w czasach późnej republiki, lecz także w okresie cesarstwa wierzyli, że swoją wielkość zawdzięczają wierności dawnym cnotom; średniowieczni malarze malowali na swoich miniaturach Hektora i Achillea toczących swój pojedynek na kopie, zakutych w zbroje, bowiem do głowy by im nie przyszło, że świat homerowych eposów różnił się tak bardzo od ich własnego. Jednak wtargnięcie świadomości historycznej do polityki nie spowodowało erozji przekonania o więzi łączącej pokolenia w jeden łańcuch.

Przeciwnie – najpierw rewolucyjna, potem romantyczna i wreszcie nacjonalistyczna (w sensie opisowym a nie wartościującym tego słowa) wersja wiary w istnienie narodu utwierdziła i rozpałała do nieznanego przedtem poziomu poczucie dumy z przeszłości narodu i odpowiedzialności za jego przyszłość. XIX wiek wprawdzie stał się dowodem, że celem polityki nie jest tylko, jak wierzył Machiavelli, wielkość i chwała ojczyzny, lecz także jej rola i miejsce w wielkim dramacie dziejów zachodniej cywilizacji. Innymi słowy następujące po sobie kolejno pokolenia przejmowały stale zadanie uczestnictwa w wielkiej cywilizacyjnej pracy; stale podejmowały zadanie utrzymania narodu rozumianego jako suma dziedzictwa i jednoczesnego zobowiązania wobec przyszłości w centrum stale przemierzającej się nowoczesności. Ci, którzy nie byli sprostać temu zadaniu, nie tylko okazywali się słabi, nie tylko kompromitowali się brakiem politycznego rozumu, lecz skazywali własny naród – rozumiany jako jedność

przeszłych, terażniejszych i przyszłych pokoleń – na granie w historycznej drugiej lidze europejskich narodów. Tam właśnie trafiali ci, którzy nie byli zdolni do wysiłku, do prawdziwej twórczości, do przewodzenia cywilizacyjnej pracy. Karą była rola budulca używanego w tych tytanicznych wysiłkach przez innych.

*Największe zbrodnie XX
stulecia dokonywane były
zawsze w imię historycznych
przeznaczeń*

Dzisiaj jednak wiara
w realność więzi
spajającej pokolenia
w jedno, więzi, która
nie tylko pozwalała
żądać poświęceń na
rzecz przyszłości od

tych, którzy nigdy nie mieli jej oglądać na własne oczy, lecz także czyniła każdorazową terażniejszość odpowiedzialną wobec minionych i zarazem przyszłych pokoleń – jest już niemożliwa. Stało się tak zarówno za sprawą dwóch światowych wojen jak i obu totalitaryzmów. Największe zbrodnie XX stulecia dokonywane były zawsze w imię historycznych przeznaczeń. Na drodze do komunizmu, który miał zakończyć historię, stały miliony przedstawicieli sil reakcyjnych; na drodze do tysiącletniej Rzeszy stały miliony „podludzi”, na czele z Żydami. W imię wierności dziedzictwu przeszłości i w poczuciu odpowiedzialności za przyszłość należało ich skrupulatnie pozabijać co do jednego. Mordowano także w imię narodowych porachunków – nie dalej jak kilkanaście miesięcy temu oglądaliśmy na ekranach telewizorów, jak Serbowie, przekonani, że klęska poniesiona sześćset lat temu na Kosowym Polu w walce przeciwko Turkom nadaje im specjalny status na Bałkanach, przystąpili do mordowania Albańczyków – odwiecznych wrogów Serbii, za to, że ci chcieli pozbawić ich Kosowa, kolebki serbskiej państwowości.

Uczucia odrazy i przerażenia, jakie wywoływały tego rodzaju eksplozje zbiorowych nienawiści, znalazły sojusznika w filozofach podejrzeń dekonstruujących wszelkiego rodzaju narodowe mity, z których wywodzono międzypokoleniowe zobowiązania do dbania o „wspólne”, ponadhistoryczne dobro. Samo pojęcie narodu okazywało się hipostazą, patriotyzm, po zdarciu pełnych patosu i powagi masek, ukazywał odpychające oblicze militaryzmu i pogardy dla obcych. Historia, która niegdyś budowała swoje wielkie narracje, po to, aby stworzyć poczucie łączności pomiędzy „nami” a „tamtymi” żyjącymi setki lat wcześniej, teraz zajęła się raczej udowadnianiem, że wszystko się zmieniło, że prawie nie sposób mówić o ciągłości sposobów myślenia a tym bardziej o jakiejś ponadhistorycznej tożsamości. Wystarczy przypomnieć, że dla francuskich dzieci Gallowie broniący się pod wodzą Wercyngetoryksa w Alezji przed Cezarem byli „przodkami” w takim samym stopniu, w jakim dla polskich dzieci „przodkami” byli piastowscy wojowie Chrobrego.

Powszechna zmowa przeciwko historii, powszechna niechęć do historycznych przeznaczeń i dziejowej odpowiedzialności nie oznacza jeszcze, że historia definitywnie się skończyła

Z pewnością uczynienie nie tylko z idei narodowej lecz z wszelkich w ogóle zbiorowych namiętności nurtujących niegdyś europejskie państwa narodowe czegoś na kształt tabu, czegoś

w rodzaju banity publicznego dyskursu, przyczyniło się do ucywilizowania wewnątrz europejskich stosunków. Lecz powszechna zmowa przeciwko historii, powszechna niechęć do historycznych

przeznaczeń i dziejowej odpowiedzialności nie oznacza jeszcze, że historia definitywnie się skończyła, czy też, że dzieje – jeśli tak można się wyrazić – przestały „się dziać” i że wobec tego zachodnie wspólnoty polityczne nie potrzebują już języka, przy pomocy którego opiszą naturalną odpowiedzialność żyjącego pokolenia wobec pokoleń minionych i przyszłych.

Dowód na konieczność posługiwania się takim językiem stanowi stojące dziś przed Polską wyzwanie przystąpienia do Unii Europejskiej. Wobec gwałtownego skrócenia historycznej perspektywy, wobec niechęci do uznawania jakichkolwiek historycznych zobowiązań, widać wyraźnie, że uzasadnienie konieczności dokonania tego zbiorowego wysiłku staje się wyjątkowo trudnym zadaniem. Jeśli bowiem historia – rozumiana nie tyle jako całość przeszłości, ile raczej jako strumień dziejów, obejmujący wszystkie trzy wymiary czasu – nie może już rodzić żadnych zobowiązań, to dlaczego obowiązkiem obecnie żyjącego pokolenia Polaków jest przystąpienie Polski do Unii? I dlaczego Unia powinna nas przyjąć do swego grona? Unieważnienie i porzucenie sposobów legitymizowania międzypokoleniowych zobowiązań i powinności przez odnoszenie ich do historii zbiorowego bytu zwanego narodem wytworzyło rodzaj próżni w dyskursie publicznym. Ponieważ zaś polityczność, tak jak przyroda, nie znosi próżni, pojawić się musiał inny rodzaj argumentów uzasadniających konieczność ponoszenia przez obecnie żyjące pokolenie wyrzeczeń dla dobra pokoleń przyszłych. Idea narodu była szkodliwą i fałszywą zarazem abstrakcją rozpalającą namiętności – powrót do realności ma zatem zapewnić pojęcie „interesu” odwołujące się do kalkulującego rozumu. Interes wskazuje na policzalne wymierne korzyści, na jakie w przyszłości mogą Uczyć układające się strony. Nie chodzi już zatem w polityce o historyczne przeznaczenia, o pozycję narodu, o jego chwałę, o jego

sukces lub przegraną, o „wolę mocy”, lecz o policzalne korzyści, przyczyniające się do poprawy jakości życia i dobrobytu przede wszystkim już teraz żyjącego pokolenia.

Kłopot polega jednak na tym, że ludzie mają na ogół sprzeczne interesy. One nie jednoczą, a raczej dzielą ludzkie zbiorowości. Naturalnie zbiorowości ludzkie mogą mieć wspólne interesy – posługujemy się przecież takimi pojęciami jak racja stanu czy dobro wspólne – jednak są to pojęcia nieostre i z trudem znoszą dekonstruktywistyczne zabiegi filozofów podejrzeń. Trudności przysparza przede wszystkim zdefiniowanie całości jednoczącej wszystkie konkretne jednostki, wskazanie bytu, w interesie którego leży przystąpienie do zjednoczonej Europy. Cóż nam bowiem pozostanie, jeśli odsuniemy na bok tradycyjnie rozumiane pojęcie narodu i związaną z nim cnotę patriotyzmu?

Odpowiedź na to pytanie jest ważna dlatego, że proces integracji z natury swojej jest procesem o długofalowych, historycznych konsekwencjach rozciągniętych na pokolenia. Decyzja oraz sposób jej realizacji zależą od żyjącego obecnie pokolenia Polaków. Przystąpienie do Unii oprócz licznych korzyści będzie wymagało wielu wysiłków i wyrzeczeń. Problem w tym, że dla wielu grup społecznych proces integracji przyniesie z pewnością wiele niedogodności i niebezpieczeństw. Najlepszym przykładem są tutaj naturalnie chłopci stanowiący pokaźną część całego społeczeństwa. Chłopci protestując przeciwko przystąpieniu do Unii, bądź domagając się korzystnych dla siebie warunków akcesji, bronią swych grupowych interesów. Stawiają je ponad abstrakcyjnym dla nich i mało rzeczywistym interesem podmiotu narracji historycznej nazywanym Polską. Widać zatem, że na fundamencie patriotyzmu łatwiej żądać od ludzi wyrzeczeń, czyli

gotowości do poświęcenia własnych interesów dla dobra bytu, który przekracza granice zakreślające świat jednostek. Poddając tę wiarę krytyce w imię zagrożeń, jakie niesie jej nadmiar, pozbawiamy jednocześnie prawomocności tę z obywatelskich cnót, bez której nie jest w stanie funkcjonować żadna ze wspólnot politycznych. Zamieranie tradycyjnego modelu patriotyzmu, rozumianego jako poczucie odpowiedzialności za minione i przyszłe pokolenia, nie oznacza, że jego miejsca nie powinien zająć jakiś zupełnie inny model, przystosowany do nowych okoliczności. Zadanie to, co trzeba podkreślić, jest tym trudniejsze, że dzisiaj – jak nigdy wcześniej w historii – jesteśmy świadomi dramatycznej obcości następujących po sobie pokoleń. Przeszłość w oczach nietzscheańskich „ostatnich ludzi” była wprawdzie na tyle uprzejma, że pozostawiła po sobie dostateczną ilość zabytków i pięknych miejsc, aby można było czerpać przyjemność z ich odwiedzania, jednak powody, dla których wznoszono gotyckie katedry, budowano mury obronne wokół miast, wznoszono wspaniałe królewskie pałace, były im doskonale obojętne. Przeszłość, tak samo jak przyszłość, nie nakłada na nich żadnych zobowiązań ani nie ma nad nimi żadnej władzy.

Przystąpienie do Unii Europejskiej nie może być rozumiane jako cel, jako ukończenie tego procesu

Jednak proces integracji rządzi się własną logiką, bo przecież – choć nikt nie deklaruje, że za jej sprawą spełnią się jakieś historyczne

przeznaczenia – sam proces trwa. Politycy obu stron – zarówno ci, którzy pracują na rzecz rozszerzenia Unii w Brukseli, jak i ci, którzy do niej aspirują – zdają się być popychani przez jakąś dziwną siłę bezwładną. Gdy słucha się ich przemówień, gdy czyta się udzielane przez

nich wywiady, można odnieść wrażenie, że proces integracji stał się czymś w rodzaju samonapędzającego się procesu. W PRL-u język oficjalny opisywał politykę jako ciągle niedokonany, ciągle podnoszony wysiłek; niedościgłym ideałem był zwrot „dalsze doskonalenie”. Otóż proces integracji europejskiej jest dziś czymś w rodzaju „procesu dalszego doskonalenia” – jego początki giną w mrokach obcej i nieciekawej przeszłości, jego rzeczywisty sens też wymyka się naszej wyobraźni. Bo przecież samo przystąpienie do Unii nie może być rozumiane jako cel, jako ukończenie tego procesu. Dzisiaj już chyba jasne jest dla każdego, że przekroczenie progu zjednoczonej Europy oznaczać będzie tylko początek procesu „dalszego doskonalenia”, czyli pracy nad dostosowywaniem wszystkich dziedzin do standardów Unii i wyrównywania różnic. I może właśnie w tym bezwiednym, niejako już rytualnym charakterze wysiłków na rzecz poszerzenia Unii, skrywa się zmuszona do tego przez okoliczności chytrość rozumu rządzącego dziejami zachodnich społeczeństw oraz traktowane podejrzliwie, lecz w każdym przecież czasach obowiązujące, reguły w rządach nad sferą tego, co polityczne? Reguły, które na pytanie: „po co Sarmatom Europa?” dać mogą tylko jedną odpowiedź: aby być podmiotem, a nie przedmiotem historii. Kto zaś nad konieczny wysiłek przedkłada swój prywatny, święty spokój, ten musi wiedzieć, że godzi się być tym, kogo Perykles w swojej słynnej mowie pogrzebowej nazwał – wedle eufemizmu Kazimierza Kumanieckiego – „nieużytecznym”, a w istocie „idiotą”. Bo właśnie od ateńskiego pojęcia służącego napiętnowaniu kogoś, kto nie dba o sprawy własnej wspólnoty politycznej, pochodzi ten synonim głupca.

Esej pochodzi z książki *Blask i gorzka wolności* wydanej przez Ośrodek Myśli Politycznej.